

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCJĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 31 PAŹDZIERNIKA 1915

NR. 14.



RYS. STEFAN FILIPKIEWICZ.

*Demeter: — ...a mnie zostawiasz groby..
...im-że w barłogu zimnym gnić?*

Kora: — ...Umierać musi, co ma żyć...

(St. Wyspiański: „Noc listopadowa”)

GROBY WY NASZE.*)

...niech żywi nie tracą nadziei.
Słowacki.

GROBY WY NASZE! O POLSKIE GROBY!
WY ŻYCIA PEŁNE MOGIŁY!
WY NIE OŁTARZEM PRÓŻNEJ ŻAŁOBY
LECZ TWIERDZA SIŁY.

NIE Z JEKIEM MARNYM, NIE Z WESTCHNIENIAMI,
NIE Z PUSTEM ECHEM PACIERZY,
ALE Z PŁONĄCEM SERCEM PRZED WAMI
STAĆ NAM NALEŻY.

BO ZAKŁADNIKI WYŚCIE PRZED NIEBEM,
KTÓRE BÓG WYBRAŁ WŚRÓD GMINU,
ŻE ZNÓW SIĘ KIEDYŚ PRZELAMIEM CHLEBEM
PIEŚNI I CZYNU.

I NA DALEKICH, TUŁACZYCH DROGACH
SYPAŁ NAM PAN TE KURHANY,
BY TEN CO STANIE NA CUDZYCH PROGACH
MIAŁ ZNAK PODANY.

BO JAK DRUŻYNA CHROBRA ZWYCIEŻA,
GDY SZTANDAR WZLATA JEJ PTAKIEM,
TAK POGROBOWIEC ROŚNIE NA MĘŻA
POD MOGIŁ ZNAKIEM.

I TAK PRZYJĘŁA ZIEMIA TA CZARNA
ONE POPIOŁY A KOŚCI,
JAKO ŻŁOTEGO POSIEWU ZIARNA
NA PŁON PRZYSZŁOŚCI.

WIĘC CHOĆ JEST TERAZ JAKO STEP NAGI,
SPUSTOSZON Z KOŃCA DO KOŃCA,
NIECHAJ NIE TRACĄ ŻYWI ODWAGI
CZEKAJĄC SŁOŃCA.

IM NOC JEST DŁUŻSZA, TEM BLIŻSZA SŁOŃCA,
TEM BLIŻSZE BŁOGIE ZARANIE,
Z MOGIŁ SIĘ OZWIE LUTNIA DŹWIĘCZĄCA,
DUCH ŻYWY WSTANIE.

I OD MOGIŁY AŻ DO MOGIŁY
PRZELECI JAKO PŁOMIENIE,
I ZBUDZI W GROBACH DRZEMIACE SIŁY,
ROZPROSZY CENIE.

I ZMARTWYCHWSTANIA TCHNIENIEM POWIEJE,
I SERCA ZBUDZI DO BICIA...
NIECHAJ WIĘC ŻYWI MAJĄ NADZIEJE,
NIECH STRZEGA — ŻYCIA.

PO ZESCHŁEM LIŚCIU WIATR SMĘTNY TRĄCA.
CICHE SIĘ ECHA NIOSA...
A JA NA GROBACH BRZOZA PŁACZĄCA,
A ŁZY MI LECA ROSA...

Marya Konopnicka.

Wiersz ten, którego rękopis posiadam, kreślony jest ręką autorki na ćwiartce kratkowanego papieru, pisany błękitnym atramentem — bez tytułu i bez daty. Znalazłem go w papierach wuja mojego ś. p. Stanisława Krzemińskiego, zm. w Warszawie d. 29. listopada 1912 r.

W puściznie literackiej śp. Krzemińskiego, pomiędzy korespondencją natrafiłem na listy poetki, ponieważ jeszcze z lat osmdziesiątych ubiegłego stulecia datuje się znajomość jego z Konopnicką.

Stanisław Krzemiński, jako długoletni współpracownik i kierownik literacki „Bluszcza”, którego redaktorką była Marya Ilnicka, na łamy tego organu wprowadził utwory poetki, wyróżniające się już formą i siłą uczucia, o uznaniu których (jak to niestety często bywa), trzeba było walczyć na sesji redakcyjnej. Konopnicka wówczas nie miała jeszcze wysokiego imienia literackiego.

Od tej pory stosunki literackie, nawiązane z „Bluszczem” i jego kierownikiem utrzymały się. Często potem na jego ręce przychodziły z zagranicy do Warszawy rękopisy poetki. Pomiędzy utworami w wydaniu książkowym wiersza przytoczonego niema. Nie zna go również p. Dulębianka, długoletnia towarzysząca poetki. Jako chłopiec w wieku szkolnym pamiętam, że wuj czytał przy stole ten wiersz,



zachwycał się muzyką i głębokością treści, obecnie można by dodać i wieszczym duchem, bo chociaż poetka ma na myśli, że pod względem pamiętek i kultu narodowego ziemia nasza „jako step nagi spustoszon z końca do końca”, to jednak dalej pisze: „Niechaj nie tracą żywi odwagi, czeka-

kając słońca. Im noc jest dłuższa, tem bliższa słońca, tem bliższe błogie zranie, z mogił się ozwie lutnia dźwięcząca, duch żywy wstanie”. Żal, że poetka, jak Krzemiński i tylu innych, którzy wierzyli w świty przyszłości i je zapowiadali, legli na rubieży tych przełomowych czasów, nie doczekawszy się wzejścia jutrzeńki lepszej przyszłości.

Wiersz, napisany prawdopodobnie z przeznaczeniem na dzień zaduszny — przez cenzurę musiał być wykreślony. Czasy rządów Hurki w Warszawie, a Jankulia w Komitecie cenzury, przy ulicy Miodowej, odznaczały się względem Polaków maksymą: żadnych pamiętek, żadnych wspomnień i żadnych westchnień. Dobra jest teraźniejszość, a lepsza będzie przyszłość, gdy się utonie w morzu rosyjskości.

W atmosferze takich prądów wiersz ten uznany został za szkodliwy dla państwowości rosyjskiej, a więc i pozostał nie drukowany.

Dr Mieczysław Offmański.

*) Przedruk tylko z podaniem źródeł za całym artykułem dozwolony.



*"... Spij kolego w cichym grobie
Niech się Polska przysni tobie..."*

Rys. Józef Świrysz Ryszkiewicz.

FRANCISZEK PIK: CIENIE.

Płynęły po równi, na którą zstępować zaczął wczesny, jesienny mrok.

Szły polami mgły szatirowe, zlekka przysłaniając chwiejące się we wietrze kiście traw, nie tykając ziemi. Szarzały na drzew pniach czarniawych, opryskanych jeszcze kroplami błyszczącego, zczerniałego złota zachodu, zawisły na chwilę w rosochatych, napół obnażonych konarach, gdzie liście blade osepieniem, wyjąłowione z barw w topieli dżdżów długich chwiały się monotonnie, jak wahadła zegarów, świadome, że jeszcze chwila, jeszcze ruch jeden... drugi, a pójda precz... daleko.. na śmierć — zaczepione rąbkiem szat o czarne miotły krzaków wibrowały moment... potem niesione podmuchem pelzały dalej powoli, uroczyście, dziwiąc tym pochodem zasypiające w gęstwie poschniętych traw ostatnie kwiaty jesieni i przypadłe do gruntu, nabierające sił do odlotu ptaki.

Równia zasypiała. Położyła się, szeroko rozrzucając płaszczyznę pod kobaltowym stropem nieba. Na zachodzie, ostatnie promienie słońca, co dawno zstąpiło za horyzont, oglądając się na zaśnieżoną, zapaliły u jej czoła niby lampkę nocną, ale i to światelko mglało z każdą chwilą, stawało się wątem, jak oddech umierającego... Płynęły cienie coraz wyraźniejsze, rozśmiałe snadź ustąpieniem jasności, krok ich nabierał tętna... zasypiające stworzenia mówiły sobie:

— Oto idą... ich godzina. Śpijmy... cóż nam?

Były teraz, jak słupy dymu dalekich spalenisk jakichś, spalenisk przeogromnych, po których łuny skonały dawno... prostowały się, zwierzały w sobie... próbowały kształtów, niepewne, jakie przyodziać... Czasem przystawały... czekały na siebie... obracając się za towarzyszem, który się pochylił nad jakimś zaśnieżonym kwiatem, czy liściem spadłym zadumał... stawały kołem na naradę, zbliżały ku sobie czołami... jak mędrcy idący z nieznanego świata ostępów ku dalekiej kolebce, gdzie sni jakaś nowa, nieznana ludziom prawda, pociągająca przez daleko ku sobie serca spragnione... i ruszały powoli dalej, uniesione nad samą ziemią, jakby się bały jej czernią powalać... jakby omijały troskliwie łachy coraz grubszej ciemności... Płynęły zwiewne, a silne, znikome, jak sen, a twardsze i pewniejsze niż życie samo... nieśmiertelne.

Nie poszły zawisnąć kędyś wysoko ponad światem, patrzeć na bezlik zjawisk z pobłażliwym uśmiechem wyzwolonych duchów... ale ślaniały się ciężąc ku ziemi, jednocześnie niechętnie jej dotknąć, rozstać się z nią nie mogły.

Czarna sylweta małej miejsciny odcinała się niewyraźnie na ciemnym niebie, na skraju nieboskłonu.

Oparę płynęły ku miastu.

Zdało się, że przyciąga je nikły... ledwo dostrzegalny przebrask tam gdzieś w stronie przedmieść, w pomiedzy czarnej, podłużnej plamy skupionych drzew mżący jasnością drgającą, dziwną, co nie jest światłem jeszcze, a ciemnością być przestała.

Na cmentarzu ruch panował i krzątania.

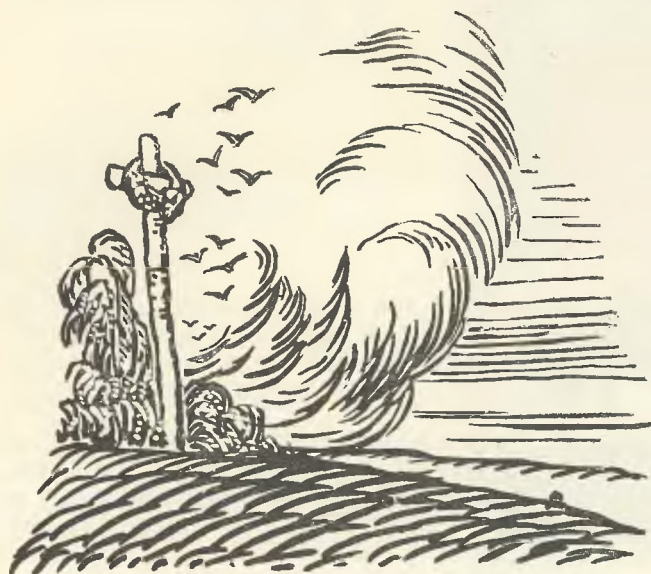
Miedzianymi blaskami oblane drzewa stały zdziwione, zaskoczzone dziwną jawą, która im sen przerwała zwyczajny. Posnęły z zachodem i nagle przyszło coś niespodziewanego. Ludzie przypomnieli sobie nagle o tych, którzy leżą sami długie, długie noce... Przyszli.

Przyszli tłumnie, biegają tu i tam. Ogromne cienie skaczą nerwowo po ziemi, pniach drzew, krzewach, łamią się na krzyżach, płytach, dzielą i łączą, szukają jakby kształtów, wiążą w rozumiale mniej więcej postaci i znowu, jak w kalejdoskopie, poruszonym jakąś niewidzialną ręką, rozpryskują się na elementy i gonią za nową kombinacją, która będzie taksamo znikomą i krótkotrwałą jak porzucona przed chwilą. W dziwnej tej krzątaniu wpadają pomiędzy nagrobki. Wydłużają się nadmiernie, karykaturalnie, niby groty czerni, śmigają w czerń nocy, toną... sycąc tym ustawicznym przypływem ciemności, aksamitną głąb, co zda się czernieje z każdą chwilą bardziej.

U podnóż nagrobków, na ramionach krzyżów zachwiały się płomienie. Grupy świec koślawych od gorąca zapadły w suche trawy i sieją poświatę poprzez badyle.

Bezgłośnie, znienacka przerzucały się po powietrzu sowy, przynęcone światłem z dziupli drzew.

Jakaś pieśń zbiorowa, hymn, na czyjaś cześć nucony dochodził z poza grupy bezlistnych już topoli. Widać było garść ludzi i chybliwych tłum cieniów na sąsiednich nagrobkach.



Przytulona do kamiennego krzyża siedziała kobieta w czerni.

Trzymała pod pachą paczkę zawiniętą w papier i zdawało się, że śpi.

Ponad nią rozłożył się cień szarawy, cichy, nieruchomy. Sam jeden nie zmieniał zarysów i patrzył ponury, zadumany na sabat nocny. Czasem przyciemniał tylko, czasem się rozwidnił jakimś bliskim migotaniem.

Siedziała tuż przy drodze, a przebiegający ocierali się o nią bez przestanku.

Raz tylko, kiedy hymn przycichł, zerwała się, ale gdy rozebrzmiał ponownie, przypadła do kamieni i znieruchomiała znowu.

Pieśń zamierała, rytm jej zrazu zamaszysty, żołnierski, ton gorący, omdlewał z każdą strofą, wreszcie urwał się. Zgasł... Rozległa się pieśń druga.

Czuby topoli osnuły opary mgieł. Bieląły widmowo na czarnem tle nieba.

Ludzie ruszali się teraz powolniej. Taniec cieniów z szalonej galopady przeszedł w polonez. Sunęły za sobą pasy światła i ciemności snuły się posuwicie, płynęły szmerząc, jak rzeka jakaś nieznana, niewiadomo skąd płynąca.

Pochód ten zostawiał, jak zostawia strumień kamienie na brzegu, ciemne postaci.

Zostawały u stóp pomników i zapadały w bezruch modlitwy czy znużenia.

Następna fala zmiatała je, porywając ze sobą i wyrzucała na brzeg inne...

Poświata nad cmentarzem rozlana przyciemniała, jak światło skróconej lampy.

Poczerniały płaszczyzny nagrobków, zatarły się ostre kontury cieniów.

Pieśń u wspólnej mogiły zamarła. Grupa śpiewaków rozwiała się na wszystkie strony.

Główną aleją przesuwając się teraz zaczęły cienie inne. Chłopcy, niedorośli, przebiegali rzucając okrzyki ostre, dzikie. Czasem zwierali się ze sobą w krótkiej szarpaninie. Wylatywały w powietrze czapki, rozlegały się dosadne przekleństwa. Szło o niedopalki świec i szarfy wieńców, zdarte z nagrobków nie dość troskliwie pilnowanych.

Cmentarz rozbrzmiał rozmową. Poczęły się ukazywać pary..., polatywały śmiechy.

Siedząca u stóp krzyża kobieta nie drgnęła nawet.

— Nareszcie... będzie można zasnąć na nowo — myślały drzewa.

Odstraszony gorącą, rozedrganą atmosferą światła, powracał teraz do swych praw przenikliwy chłód nocny. Jak firanka niewidzialna zesuwał się z góry na dół, coraz cięższymi, coraz grubszymi zwojami, kładł się na piersi ludziom, krzewom pochylał zda się czuby.

Cmentarz nie był już tak zatłoczony. Chwilami na ścieżce głównej nie było nikogo. Ziemia odzyskiwała spokój, nagrobki otulało zamyślenie wieczyste.

Kobieta podnosiła głowę... nadsluchiwała.

Ale znów para jakaś rozbawiona przemknęła.

Znów cisza.

Podniosła się, przycisnęła silniej paczkę trzymaną pod pachą i poczęła z wolna kroczyć ku grupie topoli, skąd odeszli śpiewacy.

Szła cicho, jakby bojąc się spłoszyć ciszę, a żwir skrzypiał ledwo dosłyszalnie pod jej stopą.

Raz potrafiła ją jakaś przebiegająca żywo para. Raz znów zawrzało około niej jakieś chłopczysko i przegrzmiał tętent pędzącego urwipolcia.

Szła prosto ku topolom.

Tkwily w przemarzłej, wysokiej, stratomanej trawie, otaczając półkolem długą, niezmiernie długą, podobną do wysokiego zagona mogiłę wspólną.

Tłło na niej w kilku miejscach dogasające ognisko potopionych świec, skwierczała przepalona trawa i iskierki przesakały ku żdźbłom jeszcze niedosięgniętym żarem.

Upadła ciężko na kolana, a paczka wyleciała i rozwinęła się. Posypały się na ziemię krótkie, grube świeczki.

Leżała czarną plamą na rudziejącej jeszcze od światła murawie. Wstrząsał nią szloch cichy, bezgłośny, rozpaczny.

Opodał rozlegały się wrzaski, tętniły kroki, przelatywały urywki rozmowy... nie słyszała.

Z rozłogu łąk nadpłynęły wysokie strzępiaste smugi białych mgieł i opłotły jak powoje smukłe pnie topoli. Stały wysokie, zadumane, zaróżowione od światła i dumały.

Życie niosące ze sobą rozgwar ustępowało coraz dalej, cofało się, jak pobita armia, spływało jak morze, z zagarniętej czasu przyprływu wyspy śmierci. Skąły wieczystej zadumy, nagrobki pogrążały się w cienie.

Niby szakale za armią ciągnące, przelatywały skowoty, ale i one słabły z każdą chwilą.

Z czarnego tła nieba wystąpiły fałdziste pasma chmur, festony obłoków zaczęły szarzeć i można już było rozeznaczyć głęboki granat firmamentu, z wetkniętymi tu i tam brylantowymi główkami gwiazd.

Kobieta poczęła teraz płakać... zrazu cicho... bezgłośnie... potem swobodniej...

Głowa jej leżąca na ziemi drgała nerwowo, drgały ramiona rozkrzyżowane, obejmujące w uścisk miłosny ziemię cmentarną i jego... i jego...

Rozpacz szukała go tu... niewiadomo dobrze nawet gdzie, we wspólnym grobie.

Miłość parła się ku ukochanemu pytając wszystkiego, co żywe i umarłe:

— Gdzie on... powiedzcie... gdzie on...

Szloch rozpierał jej piersi... długo powstrzymywany, tajony, na tę oto chwilę chowany szloch miłości — rozpaczny.

Serce tłukło się w piersi, jak serce ptaka, który po straszliwie długiej przez niezmierne oceany wędrówce, ostatkiem tchu dołata do pustego gniazda.

Gdzież jest... pokaż go Boże, który patrzysz z nieba...
Na chwilkę, na maleńką choćby chwilkę!

W ekstazie tego pragnienia widziała wszechmoc, która powie mu:

— Idź do niej!

Pragnęła długo, niezmiennie długo... nie przyszedł.

Tedy zapagnęła zbliżyć się ku niemu, ale nie śmiała jednym skokiem paść w to coś nieznanne, straszliwe w swej tajemniczości, a tak bardzo rozległe, że... szukać... bez pochodni wiary... nie sposób!

Szukać kropli wody w oceanie byłoby dziecinną zabawką. Jakże znaleźć jedną, maleńką, zwykłą duszę w bezmiarze zagrobowego istnienia w bezmiarach czerni, gdzie się palą od wieków ogniska jakichś bytowań niepojętych, a nie rzucają nawet najbliższego blasku do nas... tak odległe... takie inne.

Lkała coraz ciszej... Zadumane spoglądały na leżącą różowawe cienie-mgły, zwisłe na gałęziach topoli.

Wysilała całą duszę swą w obłędnym, strasznym pożądaniu. Wszystkimi siłami serca swego wołała:

— Chodź do mnie! Chodź do mnie!

Przestała lkać. Leżała nieruchoma, jak łachman całunu zostawiony po pogrzebie, jak zewłok człeka, który poszedł sobie precz...

Przygasły już niemal płomień dopełnił się do suchej gałązki, rozjaśnił mgły, i nową, lekką na pnie rzucił poświatę.

Beznadziejność i cisza głęboka, ostateczna cisza dokonanych rzeczy, poza którymi niema już nic, zaległa wokół. Sowy wróciły do gniazd, poniechawszy na dziś żeru, czy też polecały za ludźmi oszołomione ruchem, porwane prądem nieznanym, który nadszedł nagle... Ciszsza bezdenna nienaruszona i nienaruszalna, zda się, zaległa wszystkie kąty.

Cienie stojące u topol zaczęły wibrować.

Jeden zakolysał się silniej od innych... postąpił kilka kroków.

Leżała nieruchoma... nie widziała nic, modliła się tylko skowytem pragnienia:

— Chodź do mnie! Chodź!

Nie widziała, że stoi przed nią... on... odziany w siwy mundur... wysoki... wysoki jako opar mgły, ...przeraznie wysoki duch.

Towarzysze, widnieli dalej posępni, nie tykający ziemi, zawieszeni ponad nią, z czołami utkwionymi kędyś wysoko w granacie niebios, czy wierzchołkach topoli...

Leżała bez ruchu.

Wówczas on wyciągnął nad nią ręce i rzekł jak mówi duch... bez szmeru słów:

— Chodź do mnie...

Od czerni całunu poczęła odstawać jakaś miedziana, niezmiennie przejrzysta pajęczyna-mgła. Zawisła jak świetlana chmura nad leżącą i poczęła falować ruchem rytmicznym, szybkim, a harmonijnym. Była jako opar słoneczny, szukający dla siebie widzialnej formy.. cień ciała.

On... postąpił jeszcze krok i powtórzył:

— Chodź do mnie...

Wówczas z mgły wyłonił się wyraźny, kształt kobiecy... zajaśniały ręce... zarzuciły opłot uścisku na szyję ukochanego... ciało przywarło doń miłostnie... stali się jedną mgłą, jednym złudzeniem oczu... jedną wielką, nieśmiertelną prawdą, która ponad życie jest.

Cienie-towarzysze spoglądali smutnie, widząc, jak spleceni uściskiem popłynęli kędyś daleko... przez rozłogi pól... ku górze...

W ROCZNICĘ BITWY MOŁOTKOWSKIEJ.

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy dnia 1-go listopada roku zeszłego ruszyłem konno z Holzschlaghaus „drogą Legionów“ ku szczytowi Rogodze. Zmrok przedświtowy niwelował drogę i góry do jednego tonu i tylko szum przydrożnego górskiego potoku niepokojąco wdzierał się w monotonię tła. Czasem okieść szronu spadła niespodzianie na kark koński i wówczas koń przyspieszał na chwilę kroku, czasem wicher załomotał szczytami drzew i skrzyp gałęzi wdarł się na chwilę w poszum wód górskich.

Zimno było przejmujące. Ale trudno. Transporty rannych szły niezawodnie nocą z Rafajłowej, treny zapewne także, deszcz trochę uszkodził drogę, wozy mogą ją łatwo zatkać, trzeba zobaczyć, co jest do zrobienia, trzeba dla rannych coś zarządzić, trzeba się zająć maruderami. Już wczoraj wlokło się ich trochę, wszak przedwczoraj była bitwa mołotkowska.

Bitwa pod Mołotkowem! Jej wspomnienie w nawale wypadków i wojennych wrażeń wywołuje zawsze niezatarte obrazy. Była to przecież pierwsza większa bitwa brygady karpackiej Legionów. I to w jakich warunkach! Trzykrotna przewaga nieprzyjaciela,

dwanaście godzin bitwy! Jakież wizyjnie wygląda dziś ona w perspektywie czasu!

Świtało już, gdy na stoku górskim ukazało się trzech legionistów. Wlekli się w milczeniu podpierając się

wzajemnie; środkowy utykał na nogę, jeden miał głowę obwiązaną, drugi niósł rękę na temblaku.

Zaczepiłem ich o szczegóły. Okazało się, że szli przez całą noc.

— A czemu w Rafajłowej nie siedliście na jaką furę?

— Fur nie było wiele, rannych dużo, a ja jeszcze potrafię iść — odpowiedział ranny w nogę.

— Macie jeszcze 3 kilometry przed sobą, tam stoi kuchnia polowa, tam dostaniecie gorącego rosołu.

Nadzieja, że zjedzą coś ciepłego, pokrzepiła ich. Chętnie ruszyli naprzód.

Wkrótce wyłoniła się nowa grupa legionistów, wśród nich znany mi komendant kompanii, K. Szedł owinięty w dwa płaszcze i przewiązany sznurem.

— Jak się masz kolego?

— Nie najgorzej, bo mam tylko utłuczoną łapę i zdaje się, zapalenie płuc.

— E, żarty! Masz humor, a nie zapalenie... Ale co tu robisz?

— Idę ze szczytu; nocowaliśmy tam, było nie najgorzej spać, bo nie ma błota tylko śnieg. Tylko trochę przeszkadzał nam ten oto kaprał, bo gorączkuje od rany i jęczy. Nieśli go teraz kawałek...

Kaprałowi oczy gorzały.

— Lekarz jest w Holzschlaghaus, to już niedaleko... Czy na szczycie są jakie wozy?

— Jest trochę, miały wnet ruszać.

To trzeba pospieszać.

Na szczycie góry, na polance, biwakowało pół kom-

panii służbowej. Koło szalasów z gałęzi, legionieści gotowali sobie śniadanie i dzielili się niem z rannymi, którzy tu na wozach nocowali. Mgła włóczyła się po polanie.

Od strony galicyjskiej zaczęły nadchodzić treny po przenocowaniu na stoku, zaczęły się ukazywać grupy żołnierzy, mgłę przerywały coraz częściej ruchome sylwety. Ale choć skrzypiały koła, choć czasem parsknął koń lub ogień żywiej strzelił z ogniska — jakaś ponura głusza milczała wśród tej mgły i jak zmora gniotła świadomością odwrotu, tem straszniejsza, że jako kontrast przypominała, jak przed dziesięciu dniami przebiegła tędy do kraju brygada rozgrzana żądzą zwycięskiego życia.

Wzdłuż drogi panował porządek, nie wiele było do roboty.

Koło godziny 8. rano nadjechał z Rafajłowej nadintendant Wiszek, nieustrudzony, ruchliwy „życiiciel Legionów“, otaczany powszechnym szacunkiem dla swej zacności i ojcowskiego odnoszenia się do żołnierzy, a z nim kilku kolegów z Głównej Komendy.

Miałem kawałek chleba ze słoniną, ktoś dobił ocaloną butelkę wina, w szalasie ugotowano nam herbaty, śniadanie było obfite.

Rozmowa zawiązywała się zwolna i z trudem, wracaliśmy znowu do szczegółów bitwy.

— A czy wiecie, że jedna kompania III-go pułku weszła na linię tylko trzema plutonami, bo czwarty był na służbie i utrzymała front aż 900 kroków?

— A wiecie, jak komendant batalionu, N., zachęcił swoich, gdy rano zagrały rosyjskie karabiny maszynowe? Powiedział im prosto, że to są maszyny, przysłane nam do pomocy przez gen. Attensa. I w tem mniemaniu utrzymał ich z godzinę.

— To było na lewem skrzydle. Ale ci na lewem, no, no... podziwiać, choć ich rozbito. Toż oni całe 6 dni przed bitwą byli w robocie, a do tego na linię poszli podobno bez ciepłego, bo nie było już czasu zgotować.

— I tytoniu nie mieli, bo jakże co dostarczyć, gdy pułk ciągle w rozgonach.

— To żołnierz!...

— Żołnierz... — powtórzył nadintendant i uśmiechnął się boleśnie. — Prawie każdy z nich taki sam, jak ów „żołnierz“, tam gdzieś na lewem, który gdy dostał kulę, to pierwsze jego słowo było: Mamol!...

Rozmowa się urwała...

Po chwili ktoś zaczął:

— A kto widział, jak na lewem skrzydle garść naszych niedobitków już o zmroku skoczyła nagle na bagnety i jak na nich wpadły dwie sotnie? Podobno kozacy dostali porządnie po łbach kolbami.

— To było już po piątej.

— O tej porze zginął Kunicki.

— Tak... moment, kiedy chciało się szukać śmierci.

— O nie, wtedy nie rodzi się chęć śmierci, lecz pogarda śmierci.

— Tak, tak... I wielkie hasła.

— Tak jest. Wtedy pułkownik Zieliński swym spokojem mógł śmierć o rozpacz przypawić, wtedy Haller rzucił: „Legioniści naprzód“, wtedy szef sztabu sam biegł na kule.

— Ba, szef sztabu! Przecież bitwa mołotkowska, to jeden dowód jego fanatycznej wprost wiary w siłę idei Legionów!

Zaczęła się teoretyczna dyskusja nad ewolucją stanów psychicznych w czasie bitwy. Przerwał ją niespodzianie nadintendant.

— Dzieci, powiem wam nowinę: oto dziś mamy pierwszego listopada, to znaczy Wszystkich Świętych. Nasze imieniny. Powinszujemy sobie, że żyjemy. Tak..., Wszystkich Świętych, no — i Zaduszki.

Zaskoczyło nas to. Zupełnie zapomnieliśmy o dacie.

Prawda, dziś pierwszego... Wnet obliczyliśmy, że to sobota. Tak, tak, dziś Wszystkich Świętych... wieczór Zaduszny...

Zapanowało milczenie. Zadużo natłoczyło się myśli...

...Ale musiało się przypomnieć, jak będąc uczniami, chadzaliśmy tego wieczoru na groby powstańcze, jak tam przy nich zrywało się coś w piersi i tak szarpało boleśnie, aż pięści zaciskały się kurczowo, a wiara chłopięca błagała o czyn. Czy to ona wymodliła dziś cud czynu? I czy to może dlatego, że karmiona u grobu, znaczy dziś swój ślad nowymi mogiłami?...

...Jest u nas zwyczaj ofiarnego oświetlania grobów. Gdyby tak oświetlić dziś wszystkie nasze mogiły, Europa spłonęłaby w tej lunie.

Pod Mołotkowem przybyło nam grobów wiele. A wiele jeszcze miało ich przybyć? W ziemi jest na nie dosyć miejsca, to prawda, ale nasze nowe płomienie ofiarne choć z mogił tych wypelnzą, staną już silnemi kolumnami świątyni dokonanego Czynu.

Jan Grzywiński.



Nad mogiłą.



Pogrzeb legionisty.



Rysow. Bronisława
Rychter Janowska.

MACIEJ SZUKIEWICZ: MODLITWA.

„KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE.....“
OTO ŚWIT, LECZ GŁUCHO W KRAG —
TYLKO KRZYŻ GDZIEŚ NA UGORZE
SKRZYPNIE, KRUK SIĘ ZERWIE Z ŁAK.
NADPALONY WĘGIEŁ RUNIE,
NIEDOGASŁA BŁYŚNIE SKRA
I TAK PEŁGA PO CAŁUNIE
JAK PALĄCA, KRWAWA ŁZA.

OTO RANNE WESZŁY ZORZE
I RUMIENIA CMENTARZYSKO —
TYŻEŚ-TO ZSZEDŁ KU NAM, BOŻE,
NA PRZYMIERZA ŚWIĘTY ZNAK?
BO I BÓR I SAD I RŻYSKO
NIBY GOREJĄCY KRZAK
POTRACIŁY LIŚĆ I KWIAT,
POZWIESZAŁY KRASĘ CZÓŁ,
A LUD KĘDY STAŁ — TAM PADŁ
I NIETYLKO CIŻMY ZZUŁ
I NIE TYLKO OCZY SKRYŁ
OBLICZNOŚCIĄ TWĄ PRZEPALON,
LECZ SIĘ CAŁY W ZIEMIĘ WRYŁ.
W ŁONO MATKI-KARMICIELKI...
STRASZNYŚ, PANIE, LECZ POCHWAŁON
BĄDŹ ZA WSZYSTKO BOŻE WIELKI!
ŚWIĘTA TWOJA WOLA, ŚWIĘTA,
NIECHAJ WEDLE NIEJ SIĘ STANIE
NIE JAK MY, LECZ JAK TY CHCESZ.

.....
NIECH TWĄ DOBROĆ NIE PAMIĘTA
SŁÓW TYCH PANIE I POCHWAŁON
BĄDŹ TY OD NAS BOŻE WIELKI.

ŚWIĘTA TWOJA WOLA, ŚWIĘTA,
NIECHAJ WEDLE NIEJ SIĘ STANIE
NIE JAK MY, LECZ JAK TY CHCESZ.

OTO RANNE WESZŁY ZORZE
ALE GŁUCHO, CICHO W KRAG —
JENO KRZYŻE NA UGORZE
NA KSZTAŁT WYCIĄGNIONYCH RAK,
JENO GŁOGI NA WYGONIE
NIBY KROPLE SKRZEPŁEJ KRWI
LŚNIA WŚRÓD CIERNIA, JAK W KORONIE,
KTÓRĄ ONGIŚ DANO CI...
CZYŻBYŚ, PANIE, TĘ ZIEM PUSTA,
TE GROMAMI ZRYTE POŁA
WERONIKI CHCIAŁ MIEĆ CHUSTĄ?
WŚRÓD TYCH MOGIŁ, ŚRÓD TYCH CISZ
— DZIEJ SIĘ ŚWIĘTA TWOJA WOLA! —
ODCISNAŁEŚ ŁZY I KREW,
ODCISNAŁEŚ MĘKI KRZYŻ,
CO SIĘ AŻ W NIEBIOŚA PIETRZY
DLA TYCH KRZYŻÓW, ŁEZ I CIERNI
TWÓJ W TEM, PANIE, CZUJĄC ZEW,
CHUŚCIE TEJ ZOSTANIEM WIERNI
JAK RELIKWII PRZENAJŚWIĘTSZEJ!
OTO RANNE WESZŁY ZORZE,
KRWAWO, GŁUCHO. STRASZNO W KRAG.
ALE OSTAŁ PŁUG, CO ORZE —
INO NIE ŻAŁUJMY RAK!
A TY PANIE, ZIEM TYCH WŁODARZ,
COŚ DZIŚ ODJAŁ, JUTRO DODASZ
I UŻYCZYSZ TAKIEJ SOCHY,
CO GDY WETNIE SIĘ W TĘ ZIEM
WYDOBEDZIE Z NIEJ NIE PROCHY,
NIE UPIORY Z PIETNEM WIN
NI CHOCHOŁY ZDJĘTE SNEM,
JENO ŻYWYCH POKOLENIE
I SERC CZYSTYCH CZYSTY CZYN —
SERC, CO PRZEPOMNIAWSZY MĘKI
NIE DLA SKARGI, DLA PODZIĘKI
WZNIOSA WOLNYCH OJCÓW PIENIE:
„KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE.....“

ADAM ZNAMIROWSKI: CMENTARZYSKO.



Groby poległych pod Rokitną.

Fot. Relidzyński.

Tak ich gdzieś wie dzie ten zapach zwiędłych liści, ten zapach, co się dumać zdaje o czemś przerażającym, czemś ważniejszym, niż życie i niż śmierć.

Zwiś nad czeluścią nocy i obolały, gorzki stygnie na nieboskłonie kształtem trumny, coś wypowiedzieć się sili, coś odgadnąć.

I przystanęli idący, bo się im nagle zdało, że się dłoń przeznaczenia położyła na czołach ich zmierzających lodowata.

Miałoby to być już tak bliskie, to nieogarnione, przy czajone w zaułku każdej chwili, łaszące się drapieźnie do utrudzonych stóp?

I w głuchej próżni nocy nic, tylko ten zapach zwiędły, rozwierający się w otchłań bez dna, tylko ten szelest mrących liści, skrzeczący słowa złe, oślisze, ostannie.

Do ramion im, sprężonych wyniosłe, przypadają znie nacka, cichaczem émy — widziałła o skrzydłach od nocy czarniejszych, rozważanych upiornie, złowieszco.

Tłuką się skrzydła te gdzieś o bezkres, niedosiężny myślą, trzepocą się dziwnie nagłaco, pospiesznie.

Och tam, w nieskończonościach już się rozspiewał ich rytm niecierpliwy, rytm oddechu, który się żegna z ziemią u wrót czarnych.

Więc to już to — przepastne, przeraźliwe pogranicze, kir nieprzebrany, wzbierający z poszumem powodzi — i światło uporczywe łun dalekich, krwawych wieczności gromnic.

Lecz zanim serca, co się zgodziły już, pochwycą dzie kie szczęście śmiercią rozsmianych kul — o jak dobrze spowiadać się liściom gasnącym, jak dobrze zespolić tajemnicę swą odlatującą z ich tajemnicą gorzką, rozpierzchającą się w żałobnych woniach.

Jeszcze są tutaj — w okręgach żywota, jeszcze ich stopy kruszą twardo zeschnięte gałęzie, a już te stopy ich omotuje niedaleki cmentarz.

I będzie tak, jakby się poto prześnił żywotów tylu sen, by w okoleniu wierzb, welkanych w żal wieczysty, rozesłał się wskrós ciszy nieodgadłej, na nicościach, nicościach nieskończonych, ten mały cmentarzyk bezimienny.

I by tęsknota, nieogarniona, jak śmierć, wonią dziką i przeraźliwie smutną zwiśła po wiek wieków nad tym skrawkiem ziemi, którego grudka każda jest jak krzyk niewiadomych przepaści, jak któraś chwila przedzgonna tych, tak już cichych, pod zwałem liści wędniejących.

I by tu było tak dziwnie, tak rozpaczliwie dziwnie w rozbłyskach wiosennego ranka, gdy poprzez jamy mogilne płatki kwiatów padać będą ze szlochom bezsilnym na nieruchomą biel spróchniałej czaszki.

I by w zimowe noce zamieć śnieżna ponosiła cmentarzyk w lodowate nicości przestworzy, jakby od ziemi oderwać go chcąc, jakby on sam w bezdenną próżnię rozwiązać się zapragnął.

I jakżeż to, o jakżeż?

Przyjdzie lato rozgrane pszczoł pobrzękiem i rozhoworem świerszczy i będą one melodie złote, niby wieczyste zawodzenia, że niema was, którzyście się tu kiedyś w rów ciemny osunęli, tak przeraźliwie cicho, tak przepastnie.

Tęsknoto, tęsknoto, tęsknoto!

Oto się srebrnych ważek loty rozmigotają w rumianem powietrzu, a zdawać będzie się, że tajemnymi rzuty kraja one jakąś tkaninę zwiwną, dziejami męczeństw waszych malowaną.

I jakżeż to, o jakżeż?

Baśń czynów waszych legła pod gliną i pod piaskiem, i tyle jeno o niej powiadomień, ile wysławić mogą pszczoł złote pobrzęki, ile wydzwonić zdoła rozhovor świerszczy urokliwy. Tamżeto, pod zalewem promiennem południa, pod mogilnem tęczowaniem kwiatów, spi wiedza o tem, jakieście to zawadyacko rzucali się w szal krwawy ataków, jakieście cudnym śmiechem witali kul warkoty, boju pijaństwem ziejące.

I jeno te pszczoł złote pobrzęki, jeno ten świerszczy rozhovor urokliwy.

Tęsknoto, tęsknoto, tęsknoto!

LEGENDA LEGIONÓW.



W „Kuryerze Warszawskim“ p. Zdzisław Dębicki uważał za stosowne napisać artykuł o zawczesnem robieniu z legionów polskich legendy. Asumpt do artykułu tego dała książka Juliusza Kadena, poświęcona Piłsudczykom. P. Zdzisław Dębicki jest krytykiem cenionym i wielce w Polsce popularnym. Znaczy to, że do każdej nowej książki przystępuje p. Dębicki z pewnym, gotowym, utartym powszechnie komunalem, w imię którego książkę wyciąga następnie dziwacznie na łożu Prokrusta. Nazywa się ten rodzaj krytykowania zazwyczaj krytyką, trzymającą rękę na pulsie społeczeństwa.

Komunalem, z którym przystąpił p. Dębicki do oceny nowej książki Kadena, jest od czasów Mickiewicza oklepane u nas zdanie niemieckiego poety, że co nieśmiertelnie w poezji ma ożyć, w rzeczywistości zagać musi. Mając aż taki autorytet za sobą, którego kwestyonować żadnemu z czytelników p. Dębickiego ani się śniło, orzeka krytyk, że nie czas jest jeszcze na robienie z żołnierzy polskich legendy. Legenda ta sama już wyrosła kiedyś z duszy ludu, gdy czas na nią przyjdzie. Tymczasem zaś dajmy żołnierzowi polskiemu umierać bezimiennie i niech zapomnienia fala go pochłonie. Bo wszakże żołnierz na to jest, by umierać... Dajmy obecną wprzód krwi, która się leje! A później niech się tworzy kiedyś legenda...

Zastrzegam się, że nie mam bynajmniej zamiaru kopii kruszyć w obronie książki p. Kadena. Odrzucanie jej z pewnych względów, jak to czyni p. Dębicki, przyznawanie jej natomiast czysto artystycznej wartości, uważam za zwyczajną obłudę krytyczną. Co do mnie właśnie, pod względem artystycznym utworom p. Kadena nie nadzwyczajną przypisuję rangę. Lecz odłączmy od kwestyi jednego z jej piewców samą kwestyę legendy legionów. Któż wierzył kiedykolwiek w prawdziwość słów niemieckiego poety? Już Mickiewicz przytaczał je w sensie ironicznym jeno. Każdy czas tworzy dla siebie jedną wielką legendę wszystkich minionych i dziejących się współcześnie wypadków. Wszystkie czyny danego pokolenia to jest tylko jego swoisty sposób pojmowania świata, wartości życia, jego zadań i ce-

łów. Wszelka historia, czy legenda przeszłości, jest tylko widzeniem w świetle własnego poglądu na świat i życie wszystkiego, co w przeszłości dokonane zostało. Żyjemy ciągle w błędnem kole jednej wielkiej legendy, która zmienia postacie tylko i przedmioty. Wszystko, co dane pokolenie z siebie wytwarza, co działa, myśli, mówi, jest tylko wytwarzaną przez pokolenie to legendą o życiu. Na jaką skalę wytworzona jest legenda ta, na miarę Fidyasza, czy warszawskiego krawca, to jest właśnie moment, który o wartości pokolenia tego zaświadczy.

Cóż więc radzi krytyk warszawski? Radzi urabianie legendy pozostawić przyszłości, żołnierzom polskim zaś tymczasem spokojnie pozwolić umierać.

Jesteśmy pewni, że przyszłość uczyni, co do niej należy i że wytworzy sobie kiedyś obraz tego, co się dzieje dzisiaj i co nas bezpośrednio dotyka, na miarę widzenia świata własnego. Nie wynika z tego wszakże, jakobyśmy wogóle już sprawy te powierzyć całkowicie mieli w niezawodne ręce przyszłości, które wszystko sprawiedliwie osądzą. Jakoż umierać dla sprawy, której wartość przyszłość oceni dopiero? Umierać nie jest wcale rzeczą tak łatwą. Jeżeli życie częstokroć nieznośnym jest ciężarem, śmierć jest koniecznością, stokroć trudniejszą do zniesienia. Życie bowiem, jakkolwiek jest ono, zawiera w sobie zawsze jeszcze możliwości pewnej odmiany, czegoś, co nam jeszcze zgodę z samymi sobą przyniesie. Śmierć krąg możliwości nieubłagania na wieki zamyka. Jest ona najsurowszym sędzią wszelkiej ludzkiej uludy, wszelkiego liczenia na przyszłość, która jeszcze wspaniałomyślnie rachunek życia naszego poprawi. Aby żyć, trzeba wiedzieć, dlaczego. O ileż więcej wiedzieć trzeba, dlaczego człowiek ważyć się ma umierać!

We wszystkich narodach, biorących udział w tem kółtowaniu się najwyższych szczytów kultury ludzkiej i prastarych przyrodzonych ludzkości instynktów, wre przez cały czas wojny gorączkowa praca, mająca na celu utrzymanie w ustawicznym napięciu tego bezmiaru sił moralnych, energii stalowej i nie cofającej się przed żadnym sentymentalnym skrupułem woli, które niezbędne są do przetrzymania olbrzymich ciężarów, jakie wojna światowa nakłada. Literaci, publicyści, ekonomiści i filozofowie, historycy i politycy, wszyscy skupiają się około wielkiego tego dzieła, mającego na celu wytworzenie tak wielkiej, jasnej, porywającej do działania i ukazującej wizję świetnej przyszłości, legendy obecnych wypadków, by zdolna była utrzymać potrzebne siły duchowe w napięciu aż do osiągnięcia zamierzonego celu. Albowiem łatwo jest powiedzieć: wprzód działać, później już dorobi się do tego działania teoria. W praktyce wszakże każde działanie oparte jest już na pewnej, tymczasowo przyjętej za dobrą teorię, którą przyszłość może w tym lub owym kierunku dopełnić, względnie poprawić, lecz która jest dźwignią podnoszącą czyny ludzkie na świat z nicości. Każde działanie z góry poprzedzone być musi już przez pewną legendę, wytyczającą plan tego działania i rodzącą siły, do wykonania planu potrzebne.

Wiedział już Napoleon o tej sile motorycznej idei. To też, gdy posyłał żołnierzy swych na śmierć niechybną, miał dla nich jedno słowo tylko: sława. Napoleon już sam urabiał legendę, która przeżyła blask jego gwiazdy i która po wieki jeszcze trwać będzie w pamięci ludz-

kości. Nie czekał on wyroków, jakie mu przyszłość wypisze. Albowiem jeśli się na przyszłość ma liczyć, trzeba wprzód mieć obraz własny, jaką się przyszłość tę mieć pragnie.

Legiony Polskie są objawem przerwania się narodowej woli, poczęcia się wielkiej myśli o przyszłości i o roli, jaką naród nasz w niej ma odegrać. Przestaliśmy być społeczeństwem sproszkowanym, w którym każdy myślał o swoim osobistym tylko dobrobycie, a życie mierzyć zaczęliśmy miarą wielkich poczynań, obliczonych na trwanie nie przez jedno pokolenie tylko, lecz na trwanie wiekowe. Zrodziła się myśl

i miarą wielkiej tej myśli mierzyć nam przyjdzie wartość życia i uczynków każdego. Z fazy mieszczańskiego, czy małomieszczańskiego nawet istnienia, do jakiego spadliśmy w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i która wytwarzała odpowiedni obraz całej kultury, świata i życia człowieka, weszliśmy w fazę wielkich wydarzeń dziejowych, które wzięły już obecnie początek swój, a których obrót będzie zawsze od wysilenia w myśl wielkich tych ideałów zbiorowej woli.

Przyszłość narodowa wymaga dotrwania i utrzymania narodowej energii w niesłabnącem napięciu. Mimo klęsk, jakie ziemie polskie poniosły przez nieubłaganą kolej wydarzeń wojennych, mimo przykrości i zawodów, jakich niejednokrotnie jeszcze doznawać nam przyjdzie, podtrzymywać należy żar poświęceń, wobec którego nie zgębną nas chwilowe nastroje. Pamiętajmy ustawicznie, że idea, w imię której legiony polskie walczą, nie jest obliczona na krótką tylko chwilę. Tasama uparta i niezrażająca się przeciwnościami wola stanowi bohaterski hart żołnierza, gdy obowiązek swój pełni pod deszczem nieprzyjacielskich pocisków, jak i niespożytą ruchliwość, stwarzającą materialny dobrobyt narodu i wywalczającą mu przodujące stanowisko w rodzinie innych społeczeństw. W całym życiu naszym, ażebyśmy wieść je mogli godnie, przyświecać nam winna właśnie ta jedna wypromieniona legenda: o przysłem

szerokim, bujnym polskim życiu. Legenda ta, ów obraz świętej naszej przyszłości, być winien jak gdyby gwiazdą morską, przyświecającą nawie polskiego życia pośród żywiołów odmętu. Albowiem przyszłość tę zdobędzie nam jeno własna nasza niezmordowana przeciwnościami wola.

Więc nie jest przedwczesnem tworzeniem legendy, jeśli się przed oczy społeczeństwu podsuwa obraz tego męstwa, którego najwybrańsi z pośród nas dawali przykłady. Owszem, niech ta krew, która się na pobojowiskach przelewa, utworzy owo zwierciadło, w którym się każdy przejrzeć może aż do głębi duszy i zagadnąć: jakież są moje czyny wtedy, gdy inni rzecz sobie najdroższą, krew swą i życie ofiarują za przyszłość moją i rodu mojego? Nie skąpić tych obrazów, owszem, przymnażać nam trzeba. Nie tylko dzielność tych kilkudziesięciu tysięcy nam opiewać, którzy bez musu, z własnej woli pociągnęli w pole, ale także tych setek tysięcy, które przez cały ciąg wojny nieustraszenie dotrzymują pola wszędzie, gdzie im wytrwać kazano. Czyny pułków polskich w tej wojnie należą do najświetniejszych kart wojennych, żołnierz polski, to żołnierz najbitniejszy. Nieraz jeszcze powołać się będziemy mogli na polskiego żołnierza, i gdy odważać się będzie na dyplomatycznych wagach, kto czego dorasta, będziemy mogli na wagę dorzucić te skrzepy krwi, jakie nam mościły drogę ku przyszłości.

Nie przyszłości zatem zadania te powierzać nam wypadnie. Nie czekać, aż ona zechce odmierzyć nam sprawiedliwości miarę i obraz dać naszych wysiłków. Owszem, notować powinniśmy sami skwapliwie każdy sukces polskiego oręża. I nie tylko odnośnie do Legionów, ale i do pułków polskich, walczących w regularnych armiach. Zapach krwi moc ma dziwnie podniecającą. Czyńmy te rzeczy wszakże w sposób godny, bez zbytecznych kabotyństw. A wówczas nikomu też nie przyjdzie na myśl skarżyć się, iż nieobeschła jeszcze krew przemienia się w atrament do robienia... tylko literatury.

Tadeusz Dąbrowski.



W Lubelskiem.

Fot. T. Langer.

N E M O: Z D N I G R O Z Y I I.

— Janie! Janie! — potrzasała śpiącym na słomie mężczyną i nie mogła się go dobudzić.

Izba zarzucona była mierzwą. Na tej pościeli spoczywali oboje i Józik. Pod ścianą stały dwa kuferki i leżał toboł z odzieżą, przygotowany do drogi.

Kobieta przygarnęła rękami zwichrzone włosy i podbiegła do okna. Nie potrzebowała go otwierać, wybite było wraz z ramą, która chwiała się na zewnątrz we wietrze, zwisał na reszcie zawiasu.

Wychyliła się i z przerażeniem spostrzegła, że na dworze niema żywego ducha.

— Jezus! Marya!

Rzuciła się do męża z wrzaskiem:

— Janie! Janie, wstawaj na miłość boską!

Porwał się wreszcie i począł przecierać powieki.

— Idź prędko... Idź na miłość boską, prędko! Zapytaj! To jest rzecz straszna!

— Co jest straszne? Ha? — spytał napół przytomny.

— Odjechali... zostawili nas... Okropność!

— Nie pleć Maryś... nie pleć! Przecież dałem zadatek... jakżeby. Zresztą niema jeszcze Moskali. Pocóż mieliby uciekać?

— Proszę cię, na miłość boską, wstań i idź. Umieram ze strachu! No, idźże już!

Wstał, zapiął wyszarzany paltot, nasadził kapelusz i wyszedł. Niedowierzał, by miało być aż tak, jak mówiła żona, ale zaufanie w Jankla opuściło go jakoś. Wóz żydka miał stanąć koło opuszczonego, zniszczonego budynku równo ze świtem. Tymczasem dzień był już jasny, a tu ani słyhu. Pusto wokół... hm... nie dobrze jest — pomyślał.

Szedł pomiędzy opustoszałymi domami wsi. Okna były przeważnie powybijane i przez ich czarne, pozbawione żrenic oczy, widział pustkę wewnętrzną, desperackie, strachem nakazane opuszczenie. Meble, których uwieść nie zdołano, powyciągane na środek, zdawały się błagać, by je zabrano.

Chmury szare zwisały nisko nad ziemią. Mgła zimna, gęsta, jesienna spadała drobnym, przenikliwym deszczem. Niewypowiedziany smutek roztoczył swój zgrzebny płaszcz wokół, nakrył nim wszelką wesołość, przydusił uśmiech. Pod wyplamionym tym lachmanem, co wycierał teraz wszystkie światła zakątki, dyszała, jakby ostatnim tchem się dławiąc, nadzieja.

Zacisnął pięści, bo poczuł strasznego wroga, dreszcz rozpaczy.

Uczuł wyraźnie, że jeszcze nie stało się nic, a jednak już może na wszystko zapóźno, że tylko najwyższym wysiłkiem osiągnąć zdoła ten poziom codziennego zła, które się jeszcze życiem nazywa.

Począł biegać, a rozlażająca się pod stopami ziemia utrudniała mu bieg.

I ten jeszcze małeńki, niewyczuwalny kiedvindziej fakt dołożony do innych, uczynił, że zaczął wołać, desperacko wołać, chociaż do karczmy Jankla było jeszcze dosć daleko.

Nie spodziewał się odzewu. Wołanie uprzytomniało bardziej jeszcze opuszczenie, ale przerywało ciszę, tę ciszę-śmierć, która mogła lada chwila przydusić jego istnienie i ledz już sama jedna tylko na poczerniałych ze zgrozy zwłokach świata.

W skokach, które samemu wydawały się jakieś ogromne, dopadł domostwa, gdzie niedawno rezdował Jankiel, i chwycił się nagle czegoś, sam nie wiedział czego, byle nie upaść.

Przed karczmą leżały dwie puste paki z odrobiną słomy, pognieciona blaszka na naftę, strzępy sznurów.... zresztą pusto tu było i głucho. Drzwi szeroko rozwarte pozwalały oczom pójść na zwiady i przekonać się, że wszystko co się uwieść dało, zostało już usunięte. Skądś, z czarnej głębi dochodziło miauczenie kota, który z desperacją konstatował smutny fakt dokonany i nie mógł dojść do żadnego wniosku, co mu teraz uczynić wypada.

Zapatrzył się bezmyślnie, tępo w pusty dom. Rozpacz i osłupienie odjęły mu zdolność myślenia.

— Odjechali!

Nie wiedział co będzie teraz. Snulo mu się tylko bezładnie jakieś przypuszczenie niesformułowanie, że musi być bardzo źle, skoro odjechali, ale jak to złe przeżyć. Jak się ostać z życiem... nie wiedział.

Kot, obszedłszy wszystkie kąty domu, wynurzył się wreszcie z wnętrza, w kilku skokach, nie bacząc na wilgotną rosę padającą z góry, przypadł mu do nogi i począł się ocierać z radosnem mruczeniem, ale po chwili, ubezpieczony tą obecnością człowieka, odszedł, siadł w progu, gdzie nie dochodziły krople dżdżu i patrząc na Jana pytająco, kręcił ogonem.

Nagle zadudniało coś. Nie było tyle huk, co jakieś wstrząśnienie nieprzyjemne. Ziemia drgnęła tak, że aż się pod nim ugięły kolana.

Kot wstał, obejrzał się po niebie i ziemi i usiadł znowu.

Zadudniało ponownie, potem rozległ się świst przeraźliwy, wycie jakieś połączone z brzęczeniem i trzasło gdzieś niedaleko straszliwie.

Jan podniósł oczy w górę, bezmyślnie przypatrując się płynącym leniwo, ciężkim chmurom. Dopiero gdy trzasło strasznie tuż opodał, przyszedł do siebie i począł iść szybko ku domowi, gdzie została żona i syn.

— Odjechali — bo jest źle — myślał. Zupelna racya. Ale jak się stąd wydostać?

Uczuł się jak dzikie zwierzę otoczone nagonką ze wsząd. Niczem więzienie — pomyślał — i z rozkoszą wspomniął ...ongiś, kiedyś... dawno... dla idei... Ściany o które tłukł głowęte ściany, bezpieczne... opiekuńcze niemal.

A oni... żona i dziecko?

Ukąsił go w serce strach, jak żmija... znagła, niespodzianie.

Wokół leżała martwa, bezmyślna, obojętna mgła. Mogła kryć wesele... śmierć, — cóż jej to!

Błyskawiczne zbliżenie, analogia przesunęła mu się przez mózg:

— Oto jest życie oglądane z zewnątrz, z góry... z nieba. My tylko... my, patrząc z dołu, stwarzamy cały kompleks pytań, pretensyi, wiar, nadziei... A może tego wszystkiego wogóle — niema? Uczuł bezmiar nicości, zgnął go strach w serce i pchnięty musem ruchu, koniecznością obrony, walki, przeciwdziałania... rzucił się ku domostwu, gdzie oni — zostali.

Okropne wycia napelniły powietrze, które wnet tak się rozedrgało, jak ściana resonansowa skrzypiec, gdy skrzypek gra szaloną galopadę.

Artylerya jakaś wstrzeliwała się widocznie w nieprzviaciela, który gdzieś był w pobliżu.

Biegł, szybko mijając domy. Nagle z poza węgła jednego z nich wyłonił się jakiś wielki cień i zagroził mu drogę. Coś wrzasło przeraźliwie:

— Pastoj!

Spojrzał w górę.

Kozak ze spisą wychyloną wstecz, opartą o strzemie, w pośrodku na rzemieniu do ramienia przymocowaną, z rewolwerem w ręku, stał przed nim.

Błyskawicznie dojrzał jeszcze ogromną czapę jakby uczynioną z całego barana, klaczastą brodę, łeb koński ze zwisającą na obie strony po szyi przemokłą grzywą, czarną gunię, obejmującą człeka i konia razem... potem zwinął się instynktownie w bok, skoczył między przeciwnie domy, przeleciał wąskiem przejściem i począł pędzić co sił w nogach, ogrodami.

Usłyszał strzał za sobą... jeden... drugi...

Nie zważając już na nic, biegł kierując się ku domowi, gdzie zostawił swoich.

Ale przestrach załamał mu oczy, nie trafił do znanego przecież tak dobrze przelazu i prąc się wierzchem parkanu, rozdarł paltot. Spadł po drugiej stronie, tłukąc się dotkliwie w głowę. Uwalany gliną podniósł się i kroczył pospiesznie jakimś sadem, z trudnością wymijając drzewa.

A nad nim wyło stado wilków, jakich nie masz na ziemi. Ciężkie, opite wodą powietrze wytrząsało teraz pod tem szarpaniem garści deszczu na jego głowę i rzedniało widocznie z każdą chwilą. Uczyniło się przeźroczystszem, ale grało zało okropnym falsetem jęków, gwizdania chichotu, a przeraźny bas wstrząśnień huczał coraz szybszem tempem.

Nagle, gdy przelazł drugi parkan, spostrzegł, że zmylił drogę.

Stał przed jakimś domostwem, nieznanem zgoła.

Skręcił w lewo, chcąc je ominąć. Szedł wzdłuż ścian, zdalo mu się, nieskończenie długo. Przytem jakiś nieprzyjemny swąd, swąd coraz to mocniejszy zaczął go dochodzić. Jeszcze kilka kroków a ujrzał kłęb dymu przed sobą. Kłęb leżał szerokim wałem, tak, że nie mógł iść naprzód. Zatrzeszczało mu nad głową. Spojrzał i zobaczył języczki ognia wydostające się z pod strzechy. Gdzie wyszły na wierzch, zagarniały zaraz ze sobą szmaty poszycia, które związało się w górę i gorzało jak wic straszliwa, głosząca zbiórkę wszystkiego co jeszcze żyje na wielki zbór, gdzie zapadnie wyrok ostateczny i nieodwołalny.

Stał wyczerpany i podał się temu hukowi okropnemu i grozie spalania żywcem. Uczuł zupełną niemoc, wiedział jasno, że traci zmysły, a to jedyne jeszcze, to przed śmiercią upragnione... zobaczenia żywych żony i dziecka... nigdy się chyba nie ziści... Jak automat ruszył wstecz i ledwo postąpił kilka kroków, stanął u jakichś rozwartych na ścieżaj drzwi. Niezmiernie zdziwiony, iż trafił na dom, w miejscu, w którym jak mniemał, musi być jakaś droga, zajrzał do środka i krzyknął rozpacznie.

Ujrzał izbę obszerną, tęsamą, gdzie dzisiejszą noc spędził, wybite z ramą okno i dwa kuferki pod ścianą... swoje własne rzeczy.

W izbie nie było nikogo.

Zatoczył się i oparł o odrzwia.

— Teraz koniec wszystkiemu! — pomyślał.

Uczuł niezmierną chęć położyć się tutaj na zgniecionej mierzwie i czekać aż przyjdzie pożar z domostwa naprzeciwko i dokończy dzieła.

Stał tak chwilę. Poprzez huk armat, wypełniając przerwy strzałów chrobotą teraz coś gorączkowo, a bez przestanku. Jednocześnie dym jał napływać z przeciwną coraz to gęstszy. Także iskry skakały po powietrzu i uczyniło się przyjemnie ciepło.

Coś zawrzało w pobliżu, jakiś śmiech się rozległ niesamowity, potem płacz i jęki. Gdy przycichały strzały,

słyszał też chłupot kroków końskich czy ludzkich po błocie.

Oprzytomniał i ruszył szybko przed siebie.

Przebrnąwszy kłęb dymu zalegający drogę, wydostał się na wolną przestrzeń. Mgła ustąpiła, było teraz całkiem widno. Zaraz uprzytomnił sobie wszystko i począł rażno, przytem jednak ostrożnie iść naprzód.

Ale wnet musiał skryć się w najbliższym domu, bowiem patrol kozacki zabiegła mu od tyłu. Przepuścił Dońców i wychynął znów na drogę.

Spojrawszy za siebie, zobaczył, że dom, gdzie nocował dziś i gdzie leżały kuferki, zaczyna się palić jak świeca; więc żał mu się zrobiło poniechanych rzeczy.

Teraz dopiero, jakby żał tych rupieci otrzeźwił go ostatecznie, pojął co stracił. I zawył mu w piersiach okrutny żal, a ból okropny, wprost fizyczny ból zapiekł gdzieś głęboko, na samem dnie duszy.

Już nie słyszał nic. Biegł nie zważając na niebezpieczeństwo. Nie czuł przelotu kul sypiących się jak groch, nie widział kogo mija. Przesuwały się koło niego jakieś cienie... nie zatrzymywano go jednak.

Bitwa zajęła wszystkich, nie było czasu interesować się jakimś człowiekiem, co biegnie gdzieś obłocny w podartem okryciu.

A on biegł coraz prędzej, jak pies, który zgubił ślad, na oślep.

Natknął się na ciało leżące wpoprzek drogi.

Mimowoli pochylił się nad trupem.

— Nie ona... — pomyślał i pobiegł dalej.

Coraz częściej natrafiał na zwłoki w mundurach koloru ziemi.

Naraz powietrzem wstrząsnął okrzyk: Hurra!

Przystanął, ale po chwili ruszył dalej.

Nagle krzyk jakiś, krzyk przeraźliwy, kobiecy, rozdarł powietrze.

Poznał głos, raczej domyślił się, że to jej głos.

Skręcił momentalnie w stronę skąd krzyk dochodził i stanął skamieniały.

Kozacki koń rwał się niecierpliwie i próbował stanąć dęba. Kirgiz, nisko pochylony na siodle, szarpał się z kobietą, którą trzymał na powrozie, chcąc ją wsadzić przed siebie. Mały chłopiec wżarł się zębami w jedno ramię kozaka i gryzł go, jak słabe, broniące malki lwiatko.

Jan rzucił się z całej mocy naprzód. Biegł ostatnim wysiłkiem, wyrrywając z trudem nogi z rozmokłej oraniny.

Dzieliła go jeszcze znaczna przestrzeń od swoich, gdy ujrzał coś, co go przykuło do miejsca. Oto Tadzik puścił ramię kozaka, wspiął się na palce i wysunął mu z za pasa kindżał.

Chłopiec błyskawicznym ruchem cofnął rękę w tył i pchnął kozunia w brzuch... raz... drugi... trzeci...

Kirgiz, jakby gestem rozpacznym rozwarł ramiona i zwałił się bez jęku na twarz, pod nogi konia, który spał się, wydał rżenie podobne do jęku i przeskakując trupa rzucił się do ucieczki.

Upadek był tak niespodziewany, że kobieta została przewrócona na wznak.

Tadzik stał z rozwartymi szeroko oczami, błądy, nieprzytomny.

Jan biegł ku ocalonej, szeroko rozpostartemu ramiona, a w duszy miał jasność jakąś i grozę, połączone w dziwne stado.

Huk armat przycichł znacznie. Powietrze drgało teraz od okrzyków:

Hurra! Hurra!

Siwe mundury ukazały się w ulicach wioski.

MOGIŁA HERWINA.

Idzie się tu przez wieś, za sobą ostawiwszy rozfalowane, młode pola, schodzi się wiejską drożyną aż do parowu i zboczem w górę ku ścianie wielkich szumiących dębów. Po jednej stronie tej żywej, głośniejszemu spada brzeg, porośnięty wszelakim kwiatem zbłądzonym. Po drugiej płyną łany młode ku innej wsi, ku rozrzuconym wśród pól drzewom i jeszcze dalej ku temu smętnemu czarowi, co tai się za niedojrzanym brzegiem horyzontu.

Na tle tej ściany dębów, w szumie, w tchnieniu drzew tęgich i czcigodnych, jakby w oddechu bezmiernego spokoju i powagi wznosi się biały krzyż z zawieszonym przez ramiona wieńcem uwiędłego bzu.

Tyle bezbronnego żalu jest w tych ginących cicho bzu gałęziach i tyle czułości, — bo okwitnąć trzeba, minąć, przeminąć, a nikt przecie, jako kwiat żywy za grób nie dojdzie...

Pod krzyżem mogiła z darniny, około niej brzożowe balaski, opodal takąż ławeczka z biało-srebrnych pni, iżby tu można przyjsć, sięść i głowę na rękę oparłszy i oczy utkwiwszy w niebieskiej błękitu pamięci — myśleć, dumać...

Śnić się tu może jakaś urna przezczysta, z której płyną zdroje zasługi świetnej i płyną i toczą się w nieskończoność...

Juliusz Kaden Bandrowski.

(„Bitwa pod Konarami“).



ROMAN HOROSZKIEWICZ: NA TLE WSPOMNIENI.

Przeglądam notes, książeczkę małą, w skórkowej, czarnej oprawie, zniszczoną i poplamioną. Rok wojny. — Pierwsza data: 5-ty sierpnia, 1914 rok. A potem już nieprzerwany szereg dat i nazw miejscowości, wspominki i notatki z dni pracowitych, nocy bezsennych, bitw i marszów, postojów i odpoczynków. Krótkie zdania: „Coraz silniej biją z armat, zaraz i my idziemy“ — albo: „wczoraj atak na wieś ... dobrze poszło“. — Potem: tylu zabitych, tylu rannych, — czasem nazwisko kolegi bliższego lub komendanta któregoś. Przeplatane te dni krwawe, dniami nudy walki pozycyjnej, gdzie notuje się ilość bramek zdobytych w partyi footballu. — I jak kwiaty jasne, notatka o jakiejś kwaterze przemilej, a czasem imię kobiece, które przywoła główkę jasną i uśmiech i błysk oczu, rzucony, o tak sobie, a który przecież długo nieraz świecił żołnierzowi.

— Rok wojny. — A teraz tłum wspomnień i wrażeń, — tak ważnych, tak silnych, a ciekawych.

Pierwsze wrażenie w bitwie? — Zagłębiam się w wspomnienia, chcąc wyłowić pierwsze, najpierwsze, — sięgam aż po dzień sierpniowe, gorące, znojne i prócz tego gorąca, prócz oślepiającego blasku słońca, nie pamiętam nic. — Później w dniach tylu, tylu bitew, odczuwałem dominującą ciekawość, co to dalej będzie, coś tak, jak na początku polowania lub balu, i głuchy niepokój, byle dobrze poszło, byle dobrze.

W samej zaś bitwie różnie bywa, to już zależy od warunków i otoczenia. Niech się znajdzie w plutonie

jeden, dwóch morowców, nie tracących werwy ni humoru, a cały pluton będzie się trzymał doskonale. — Trzeba uwierzyć, że są ludzie, którzy jakby urodzili się już starymi weteranami. Zachowują się oni w najgorszych sytuacjach, w największych niebezpieczeństwach tak, jakby one nie były dla nich nowością. — Wiedziałem, że tak będzie, znam to już, nie straszne — zdaje się taki mówić każdym gestem, każdym czynem. A jest ich dużo, więcej niż się można było spodziewać.

I są inni, którzy się nie dadzą opanować niczemu, owszem, panują nad sobą i sytuacją. — Dla tych bitwa, to coś nowego, ale znowu nie rzecz, którejby nie można zrozumieć, którejby się należało obawiać. Idą w bój z uśmiechem na ustach, z błyskami radości w oczach, nie tracąc nic ze swej wewnętrzności. — „Aha, tak to wygląda, — naprawdę ładne. Że też można jeszcze tak ciekawe i nowe rzeczy oglądać na ziemi“.

A są jeszcze inni, nad którymi panuje groza walki, panuje bezmyślny tłum, bojący się nieznanego. Ci nie są w stanie utrzymać na wodzy nerwów, szarpanych okropnościami boju. I całe szeregi typów pośrednich, od całym wysiłkiem woli panujących nad sobą, byle nie dać poznać niepokoju, strachu, zużywających całą energię na opanowanie się, do ogarniętych wirami tłumów, nastrojem otoczenia, i idących za większością. — Wielu wyrobi się jeszcze, opanowywać się będą oni coraz łatwiej, aż zaczną wreszcie panować i nad sytuacją. Bo wojna, to także szkoła charakterów, w której jednak

trzeba drogo płacić za naukę. Co do strachu jeszcze, to naprawdę nieraz niema nawet czasu pomyśleć, że właściwie są powody do niego.

A teraz ważna i tak ciekawa kwestya przeczuć. Sam doświadczyłem ich, choć dopiero post faktum uprzytomniłem to sobie. Wierzę więc w nie. Kapitan Herwin podobno zawsze twierdził, że nie przeżyje wojny. — Ciekawe opowiadanie słyszałem z bitwy pod Lowczówkiem: W drugim, czy trzecim dniu walki, jeden z naszych, wyszedłszy przed linię, ściągnął buty z zabitego Moskala. Wśród zazdrości kolegów, zaczął je, wróciwszy na miejsce, wdziwać. Wtem przestał, po chwili zaś, zakławszy, ściągnął je, nawpół już wdziane i rzucił ku sąsiadowi, wołając: „Bierz, mnie już nie potrzebne“. Usłyszano zaraz charakterystyczny skowyt zbliżającego się armatniego pocisku. — „Po mnie idzie!“ — krzyknął ów żołnierz, a granat pękł w tej chwili, trupem go kładąc. Nie lubią jednak żołnierze mówić wiele o tych sprawach. Tylko po każdej bitwie krążą głuche opowieści:

— Ten powiedział, że zginie, tamten się żegnał z przyjaciелеm, ów list zostawił do rodziny.

Dowadywałem się nieraz, czem kto jest w „cywilu“. I często taka sprzeczność, taki rozdźwięk, śmieszny czasem z obecnem położeniem. Ot, akademik, z zapalem obiera ziemniaki, w zawody idąc z urzędnikiem bankowym. Komenderuje plutonem niedawny uczeń gimnazjalny i swego profesora na warcie lub pod karabinem stawia. A jak też pójdzie życie temu piątoklasiście, który uciekł ze szkoły? — Zabijaka z niego teraz okrutny i strzelec najlepszy w kompanii, a może kiedyś bać mu się przyjdzie dwój i kuć o czynach Heraklesa, czy Godfryda, jemu, który dotrzymywał w linii mimo ognia karabinów maszynowych, a pytanie czyby to tamci potrafili.

Zresztą wojsko i wojna zaciera indywidualne cechy

i szybko każe zapomnieć o tem, co było i że może być gdzieś i kiedyś inaczej. — Po kilku miesiącach życia wojennego ze zdziwieniem pewnem i z trudem tylko niejaki można sobie uprzytomnić okolice spokojne, życie porządne i regularne, w którym nikt nie boi się i nie ucieka, gdzie można spokojnie iść w odludne miejsca i bez kłopotu i w swoim czasie jeść i spać.

Strategiczne pochody, potyczki, bitwy, opisują i notują komendanci i żołnierze. I będziemy wiedzieli o genialnych pomysłach, o dowcipnych podstępach, o wesółch, smutnych i tragicznych przygodach. Ale bitwa jest świętem niejako, a codzienne marne dole i niedole pozycyjnej walki mniej znajdują Homerów. A szkoda. Bo czyż nie charakteryzuje ludzi to, jak się urządzają na kwaterach, jak wytrzymują marsze, — i jak przyjmują te rozliczne zmiany i niespodzianki wojny.

Nie znalazł się jeszcze piewca ni lipnickich bitw na śnieżki, ni nadnidowych zdobywań okopów i walk na kije. Niema, o ile wiem, ani opisów zabaw z czasów odpoczynku w Kętach, ani sprawozdań footballowych i hippicznych zawodów podczas walki pozycyjnej nad Nidą. A przecież i to codzienne, zwykłe życie, tak obfituje w ciekawe i psychologicznie ważne momenty. — Tłum ogromny ludzi różnych i licznych zawodów i różnych stopni kultury oddziaływa na siebie i na lud, z którym styka się, kwaterując po wsiach i miastach.

Rzucam wam cząstki życia z całego roku wojny. Z roku tak obfitego w rzeczy wielkie i wypadki olbrzymie, w chwile podniosłe i w chwile, którym podobnych tak wiele w życiu blahem, codziennem. A tych chwil właśnie nikt nie notuje, prawie nikt nie pamięta, przechodzi się obok i zostawia je za sobą, choć z nich tkane jest życie nasze i od nich tem jaskrawiej i dobitniej odbijają chwile historycznej wagi.

P R Z E G L Ą D.

Z TEATRU.

Jeden z świetnych znawców krasopisarstwa współczesnego, Emil Faguet nie wahał się przedstawić Tristana Bernarda do godności króla humorystów francuskich. Od ostatnich wyborów, z których dzwonkowym królem czy księciem poezyi wyszedł arytmiczny ikonoklasta Paul Fort, odwykliśmy brać dosłownie artystyczny plebiscyt Francyi i w operetkowych dynastyach królów sonetu, romansu czy symfonii skłonni jesteśmy widzieć raczej niedosć sprytny manewr republiki, likwidującej w sposób do niczego nieobowiązujący rojalistyczne zachcianki rentyerów. Ale osąd profesora Sorbony, wygłoszony z pominięciem persyflażów France'a, Renarda czy Gide'a, zdolny był zachwiać opinią przeciętnego konsumenta teatru, który Tristana Bernarda sklasyfikował już pospiesznie w jedną grupę z Capusem, Hermantem, Romain Colusem, de Croissetem. Liczne poszlaki poczęły tedy budzić podejrzenie, że ma się tu raczej do czynienia z pisarzem dużej miary, który za miskę soczewicy sprzedał maklerom teatryków pierworodztwo poezyi i oto „uśmiecha się przez łzy“. Domysł ten potwierdziła w pełni grana u nas niedawno „Kawiarenka“; krytyka rozpoznała w niej mądre a dobrodusze niemal oblicze filozofa skrót romanckiego, który zdarzenia swoje eksponuje z mistrzowską prostotą, prowadzi z ironią prawie sokratyczną, a rozwiązuje z rasowo komedycznym sentymentem. Z sukcesem tym (r. 1911) awans Bernarda z liweranta scen bulwarowych na komedyo-pisarza był dokonany. A jednak Bernard pozostał nadal spekulantem teatralnym. Dowodem żałośnie ponura opowieść

o seraficznie czystej matce Joannie Doré, fabrykat na kilka miesięcy przed wojną dostarczony teatrowi Sary Bernhardt, dla jednej roli kobiecej skonstruowany w jawnym kompromisie z gustami mobu, a jednak z kontraktu tego wychodzący z niezapieczoną resztą sensu i uczucia.

Melodram to londyńskiej raczej, niż paryskiej proveniencji, literacki produkt porozumienia francusko-angielskiego, owoc grzesznej cudzołóstwa pełnokwistej, podkasanej muzy z Montmartre z limfatycznie kwakerskim cantem z fashionable-teatru. Kto ciekaw oglądać ten rodzaj „twórczości“, a nie ma sposobności poznać repertoaru scen londyńskich z autopsyi, niech czyta dwa grube tomy „Dramatic opinions and essays“, w które G. B. Shaw vivisected zebrał swoje krytyki teatralne z czasów, gdy na łożu Prokrusta rozciągał te wrzaskliwie moralizujące kontrasty miliarderskiego luksusu i uciskanej niewinności z doków i przytułków nocnych, fenomenalne mocowania atletów szlachetności z przepaści sto-czarnymi intrygantami grzechu w obliczu tysięcy bogato ukostymowanych statystów, w oświeceniu palących się za karę fabryk, łoskocie piętrowego omnibusu, przewracającego się na deskach scenicznych w karambolu z samochodem. Zważywszy, że hałaśliwe te oleodruki miewają pretensję o dostojność tragiczną i obłudnie świętą intencję etyczną, przyznać trzeba, że melodram Bernarda, choć narodził się z infekcyi ponuro purytańskiego romantyzmu, szczepionego na beztróskim, zielonym pniu esprit gallickiego, zachował przynajmniej tę ujmującą szczerość, z jaką staje wobec widza w kompletnym deshabilu artystycznym

i otwarcie wyznaje swój rodowód z kryminalistycznego romansu. Słuchacz nie mistyfikowany ani na chwilę, owszem od pierwszej niemal rozmowy Jakóba Doré z matką uprzedzony, czego ma się tu spodziewać, uzna tę jawność intencji za objaw uczciwości artystycznej i policzy ją na dobro autorowi, który dostarczywszy molochowi teatralnemu w czternastu latach sztuk czterdzieści i trzy (aktów 86), miałby już chyba prawo w natłoku sensacyi pogubić resztki sumienia twórczego.

A jednak w tych siedmiu obrazach, w kinematograficznym tempie pokazujących: sklepik prowincjonalny, salę sądową, dworzec kolejowy i kryminal, błakają się akcenty prawdziwie liryczne, rysuje się raz po raz coś, gdyby zaczętn dramatyczny, dobywający się lekliwie z pod spektaklowej roboty, lecz płoszony rychło filmową inspiracją akeyi. Sprawa ta oparta być miała na kolizyi litery prawa z sumieniem. Jakób Doré, który w przystępie gniewu zabił ojca chrzestnego, nie mogąc zdobyć pieniędzy dla kochanej kobiety, zdaje się być usprawiedliwionym wobec siebie, matki i autora; sprawiedliwość jednak doczesna, wcielona w galeryę sytych i tępych podpór społeczeństwa z partykularza, skazuje go na śmierć. Znamy, nazbyt dobrze znamy ten nieśmiertelny konflikt; w „Roży Bernd“ Hauptmanna wcielił się w areydzioło. I naprawdę w tym biednym filmie Bernarda są chwile, kiedy tensam, hauptmannowski niemal, arcyłudzki głos litości zdaje się zebrać u Przeznaczenia o wyższy moralny porządek rzeczywistości. Komedia Bernarda miewała nieraz żartobliwość gorzką w posmaku, molierowską, ilekroć chodziło o wydziedziczonych bez winy lub choćby z winą; w każdym wykołajeńcu skłonna była dojrzeć byłego marzyciela, który w pogoni za błękitnym kwiatem ideału stoczył się na dno szumowin miasta; stąd ta czuła pobłażliwość dla wartogłowych korsarzy turfu czy piratów zielonego stolika, gotowość uznania w byle awanturze policyjnej buntu upadłych aniołów przeciw solidnie merkantylnej, jałowej, beżużytecznej uczciwości sytego bourgeoisie. „Światopogląd“ podobny starczyć może na kilkanaście komedyi niepozabawionych świeżości t. zn. wolnych od zaduchu problemów buduarowych, dociekań trygonometrii trójkąta małżeńskiego i przygód wysortowanych pretendentów do tronów zabałkańskich. Ale kiedy z motywów tych przyszło wyosobnić sam rdzeń tragiczny i na nim oprzeć całość, okazało się rychło, że autorowi starczy oddechu ledwo na kilka scen lirycznych, a reszta ulotniła się lub spłynęła w niedowcipne rezonery na temat uprawnienia kary śmierci. Wówczas to autor, z konieczności robiąc cnotę, zdecydował się bez żenady stworzyć sztukę ludową.

Nie tu czas ani miejsce dociekać, ile w tym obrocie rzeczy jest własnej winy pisarza, a ile głębszej raczej winy pokolenia i narodu. Bezfrasobliwie gallicka, sceptyczna non-szalancya wobec powag życia nie jest atmosferą, w której rodziłyby się mogła tragedia. Kto raz uwierzył w aforyzm lorda Paradoxa: „Życie jest rzeczą zbyt poważną, aby je brać na seryo“, ten późno, zwykle za późno, bo aż w dniu klęski dochodzi do tego „De profundis“, w którym odwołuje się całą w żart obróconą tragedję istnienia. Ktokolwiek chce więc rzucić kamieniem na melodramat Bernarda, niech wspomni, że „dramatyczność“ Bataille'a, Bernsteina i Porto-Riche'a w pogoni za sytuacyami wyjątkowymi, w rozkielzaniu rozgrzanych do białości namiętności, w monosylabicznych bełkotach rozpacz i strachu zdążyła oddawna, choć wstydliwie do tegosamego udoskonalenia kinematograficznego, z którym bez osłon przynajmniej utożsamia się sztuka Bernarda. Jest on tylko dzieckiem swojego, przedwojennego pokolenia. I to dzieckiem jednym ze szlachetniejszych; „bogu nieznanemu“ śpiewają prawdziwi poeci, biedny autor „Du danseur inconnu“ ma w herbie jeno

„nieznanego tancerza“, ale last not least jest to może tasma tęsknota za nienazwanem, tensam motyw doli, który bywa niewyczerpanym skarbem poezji.

„Joanna Doré“ jest ostatnią ze sztuk, odziedziczonych po zmarłym dyrektorz. Ktokolwiek się jeszcze wahał, jak określić właściwy pion eklektyzmu Pawlikowskiego, ten w pogrobowym tym głosie znajdzie wskaźnik oczywisty: nie mag to być poezji ani piastun literatury, ale rasowy człowiek teatru, w którego katechizmie artystycznym pierwsze przykazanie brzmiało: „na początku był aktor“. Nie zdziwi się więc temu wyborowi, kto wie, co znaczy światopogląd artystyczny, równający się wejrzeniu na sztukę od strony kulis i rampy, widzący najchętniej dzieła realistyczne, ale realistyczne nie z punktu widzenia literackiego, lecz scenicznego, to jest te, które pozwalają aktorowi przejawiać pełną, chociażby jaskrawą rzeczywistość gry. Sztuka Bernarda napisana była dla Sary Bernhardt, wprowadzona do nas dla p. Bednarzewskiej. Dawna, jakże dawna Rusalka z „Dzwonu zatopionego“ schodzi coraz wyraźniej w te emplois aktorskie, gdzie kończy się miłosna udręka kobiety du âge dangereux, a zaczyna ofiara tragicznej matki; w tym rejestrze zdobyła artystka w swoim czasie pierwszorzędną sukces, kreując bohaterkę w głośniejszej sztuce Bissona „Madame X.“ Matka Doré jest wariantem tamtej roli, nie dochodzącym pierwowzoru, ale mającym szczegóły pierwszorzędnej piękności. P. Leszczyński pokazał w obrazie III. lwi pazur dramatycznego aktora; kilkuletni pobyt w Warszawie, pamiętna rola Antoniusza, a może i powaga chwili dziejowej, w której nietylko dzieci, ale i lekkoduchy teatralne szybko dojrzewają, wydobyły z amanta niespodziane gesty i akcenty uczuciowe. Rydel twierdzi, że ten gamin obciążony jest dziedzicznie talentem tragicznym; przyszłość okaże, czy dojrzałość tego artysty leży na tej linii rowoju. Pani Kamińska akcentowała dyskretnie kocią perfidyę prowincjonalnej „żabusi“. Epizodyczne role dobrze tłumaczyli pp. Mielewski, Bończa, Trzywdar, Brand, Stanisławski. Ale p. Grabowski niepokoi przyjaciół swego talentu niehamowaną skłonnością do szarży. Sceny zbiorowe szły składnie, zmiany dekoracyjne miały nadspodziewanie szybko: zasługa to reżyserji p. Jednowskiego. Widownia, zdemoralizowana dotychczasowym repertoarem farsowym, zachowywała się z początku niesfornie; w drugim akcie zorientowała się, czego od niej żądają, i zasmuciła się, jak przystało.

Dnia poprzedniego przeżyła za to kilka godzin podniosłych wzruszeń: śpiewała artystka rozgłosu światowego, a sentymentu rdzennie polskiego, pani Korolewicz-Waydowa. Jest zbyt cennym określać zjawisko, sięgające najwyższych zagadnień sztuki wokalne, frazeologią pochwał, podniesionych choćby w stopień najwyższy. W każdym bowiem wyrazie, do którego zechce się nagiąć ów sopran o niegasnącym blasku, ponad zagadnieniem technicznym, pokonanem igraszką, tryumfuje dopiero owa bezcenna nadwyżka natchnienia, która się wciela porówno areydziołnie w zawodzenie dumki, żalostną kantylenę ludową, wszystkie uśmiechy i melancholie Szopena, werystyczną frazę Pucciniego. Koncert był pierwszym z występów, które znakomita artystka ofiarowała najmłodszemu pokoleniu ofiar wojny: bezdomnym dzieciom po poległych żołnierzach. Sama zapoczątkowała to humanitarne dzieło i oddaje mu na usługi swój talent. Na scenie stała tedy pieśniarka z łaski bożej, w pełnej krasie duszy i kształtu, a cała w miłosiernej żalobie córki najniebezpieczniejszego z narodów: nie zapomną słuchacze, że jej to zawdzięczają najczystsze ze wzruszeń, jakie daje życie: gdy ży zachwyty bratają się z temi, które się ociera.

Tadeusz Świątek.

WSZYSTKO TO JUŻ BYŁO...

„Wojna tamuje, zabija życie, by tworzyć nowe“ — odczuwany ten życiowy paradoks w całej pełni. A nawet, jakby dla większego rozmachu i skoku w przyszłość, obecnie cofnęliśmy się głęboko wstecz, w niejednej dziedzinie aż poza naszą erę.

To sympatyczne i istotne zbliżenie się do wieków minionych przynosi nam pociechę i korzyść, znajdujemy w historii gotowe już przykłady sposobu życia w takich czasach i dowody, że nie takie rzeczy ludzie przeżywali, a więc i my... Nadto wskutek przewartościowania wszelkich wartości, jak ktoś nazwał wojnę, obywamy się bez wielu nawyków i rzeczy, przedtem zdawałoby się niezbędnych, o niejednych już prawie zapomnieliśmy, przy innych cofnęliśmy się do czasu najprymitywniejszych ich form. We wszystkich dziedzinach prawie da się to zauważyć, w niektórych odbiliśmy długą „podróż w czasie“ z powrotem np. w prasie.

Ta ostatnia, będąca dotychczas na szczycie swego rozwoju, nerwowa jak ubiegła epoka, oko, ucho i język całego świata, pędząca naoslep do wszelkiej sensacji, jaka się na krańcach kuli ziemskiej zdarzyła, można, potężna, tronowładna „fama“ nowoczesna — cofnęła się do błogich czasów swych narodzin, gdy w pierwszych wiekach naszej ery była suchym oficjalnym afiszem.

Drukujemy obecnie tylko to, co nam „komunikują“, a nadto przedrukowujemy te liczne afisze, jakie, co jakiś czas, na murach miasta się ukazują. Wpływ afisza na dziennik jest tak wielki, że niektóre pisma zupełnie się do niego upodobniły.

Bo afisze, to teraz najpopularniejsza lektura wszystkich, z nich dowiadujemy się o wyrobie chleba, o cenach targowych, dostępnych miejscowościach dla podróży, o wyrokach, o mobilizacji, o meldowaniu się, o piciu piwa, wina, nawet o poprawnym chodzeniu po ulicy i mijaniu się na lewo, o spacerowaniu po prawej stronie chodnika.

Wszystkie najżywotniejsze i najbardziej nas się tyjące sprawy porusza afisz, groźny obecnie konkurent prasy! To też ona zagrożona w ten sposób poważnie z jednej strony, a skrzepowana z drugiej, broniąc swej egzystencji, dokonała szybko ewolucji powrotnej, stając się komentowanym afiszem.

W obecnej wojnie, wszystkich przeciw wszystkim, walczą ze sobą dziennik z plakatem, trzeba przyznać, że zmiennem szczęściem.

A jakże było wówczas, przed wiekami?...

Rzymianie, nie będący bynajmniej domatorami i mający dużo wolnego czasu na przechadzki po forum, zadawali sobie afiszowym rodzajem codziennej lektury aktualnej. Do końca cesarstwa afisz rzymski podawał do wiadomości rozporządzenia władz, dekrety senatu, ustawy, zawiadomienia dekury i t. p.; nadto obywatele reklamowali swą cześć dla panującego, dobroczyńców, reklamowali wszelkie interesa. Bywał on z różnego materiału: ryty w miedzi i marmurze dla obwieszczeń stałych; przelotnym służyły: deska pobielona lub mur, na których interesowani daną treść wypisywali. Z trwalszych przechowało się do naszych czasów wiele

i stąd wiadomość o ważnej ich roli w życiu Rzymian, oraz dowód, co im prasę zastępowało.

Na pomysł dziennika czekali ludzie kilkanaście wieków; jak sobie w tym czasie radzili, mogą ciekawi dowiedzieć się z dzieła p. t.: „Histoire de la presse“ Hatina, dość, że dziennik w najpierwotniejszej postaci miał głównie za cel — co wskazuje choćby nazwa gazety „Petits Affiches“, wydawanej w Paryżu przez Dugona w XVII wieku — uprzysięgnąć szerszemu ogółowi wygodniejsze niż na ulicy czytanie afiszów, tak, jak to w pewnej mierze i my obecnie czynimy.

Takie są nasze styczności z zamierzchnią starożytnością rzymską i nowożytną pomysłowością francuską, w charakterze, w formie i treści prasy dni naszych.

A nasunęły one więcej jeszcze aktualnych reminiscencji...

Właściwy dziennik rzymski był publikacją urzędową, która na rozkaz Cezara od 59 r. przed Chr. podawała do publicznej wiadomości protokoły obrad senatu i zgromadzeń ludowych, następnie jednak August i inni odebrali im treść oficjalną, którą zastąpiły drobniejsze nowinki rzymskie, stające się wreszcie główną osnową publikacji.

Przyczynili się do tego kolporterzy wiadomości rzymskich na prowincji, zawodowi „plotkarze“, przodkowie dzisiejszych reporterów. Rola ich podobna była raczej do obecnych plotkarzy amatorów, niżli zawodowych dziennikarzy, rozsiewali najfantastyczniejsze brednie w plotkach ustnych i listach, wysyłanych „okazyami“ na prowincję. Poczta bowiem była tylko na użytek rządu, codzienne zaś listy plotkarzy, „commentarii rerum urbanorum“, wskutek swej niezbyt lojalnej treści przeważnie omijały urzędową drogę komunikacji.

Cech plotkarzy miał adeptów płci obu, o kobietach zaś tej konduity mówi Juwenal, że byłyby najnieznośniejszym typem niewieści, gdyby... nie istniały kobiety literatki...

Więc choć nie było telegrafu i telefonu, rozchodziły się wieści szybko, jak i obecnie; Rzymianin cenił swoją Famę, boginię o stu ustach, co jak mówił Wergiliusz „stoi w dzień na szczycie najwyższego budynku i wszystko widzi, w nocy zaś przebiega całe niebiosy i wszystko opowiada. Nie spoczywa nigdy, równie ochotna szerzyć fałsz, jak i prawdę głosić“.

Czasy obecne spowodowały wiele analogii. I we Francji, w XVIII. w. grasował w Paryżu luźny cech zawodowych „nowinkarzy“, którzy przesiadując w ogrodach publicznych w Tuilleryach, Luksemburgu lub Palais Royal opowiadali chętnym słuchania najpotworniejsze plotki polityczne z całego świata. Mieli oni ustaloną sławę kłamców, tak, że drzewo, pod którym się gromadzili, otrzymało nazwę „Arbre de Cracovie“ (drzewo krakowskie) od „craques“, t. j. kłamstw, które rozpuszczali.

Nasze miasto roi się obecnie od (craquerów) plotkarzy, nazywając się właśnie Cracovie...

„Wszystko to już było“, słusznie mówił Ben Akiba, a niewzruszone te objawy nie będą nas dziwić ani niepokoić, gdy się z nimi oswoimy, bo „do wszystkiego można się przyzwyczaić“, jak mówił karp, przewracany na patelni... tylko cierpliwości...

Stefan Nowiński.

